

Ameryka pełna chleba

Agnieszka Kłós

Rakiety strzelały w górę. Raz po raz pękały jak puste butelki, zasysały przy tym powietrze i zamierały, a potem gdzieś głębiej znowu wybuchały, ale może to było tylko ich echo. Siedziałam w kuchni, w brudnym różowym szlafroku, i słuchałam wybuchów. Poza nimi nie było nic słyszeć, jakby dziś ludzi reprezentował tylko kolorowy ogień na niebie. I poza pustymi wybuchami na świecie nie było już nikogo. Niebo, co trzeba dodać, było zachmurzone i zamglone. Dym z fabryk unosił się w górę wielkimi, majestatycznymi pyknięciami jak z fajki wielkiego wodza. A ja siedziałam na kuchennym stołeczku i wspominałam innego sylwestra, którego nie byłam świadkiem, ale o którym słyszałam.

Ten sylwester miał miejsce w Ameryce, gdzieś pośrodku Oceanu. Na wielkim promie podobnym do rzędów bloków posklejanych, pozlepianych i uszczelnionych pianką. W kolorze różu i pistacji. Wszystkie okienka tego wielkiego statku były oblepione tłuszczem i parą z gotujących się kotłów, tyle tam było jedzenia. Znajomi, którzy na niego wsiedli, mówili, iż statek był tak obciążony bananami i mięsem, że tył zatopił się znacznie mocniej pod wodę, a jeszcze nie wypłynęli. Port przyszedł pożegnać wielki statek pełen jedzenia i ludzi. Kasia, która tam była, stała na wąskim mostku, bajecznie lekkim, zbudowanym jakby z zapalek, tak mały był, niepozorny na tle tego kolosa; stała i ścisnęła w podróźnej torbie konserwy z mięsem i tuńczykiem. Adaś nic o tym nie wiedział. Miał w portfelu kupę dolarów zarobionych na stacji benzynowej (pierwsza zmiana) i w sklepie pełnym łakoci (druga zmiana), w miasteczku pełnym kolorowych ludzi, głównie Indian, na zboczu wysokich gór, których wiatr był tak zimny i wilgotny jak miętowe cukierki na ból gardła. Adaś miał jeszcze coś; w kieszeni nowych spodni, bo na statku każdy pasażer musiał mieć wytworzony smoking lub suknię wieczorową, leżały złote obrączki. Adaś chciał się tam Kasi oświadczyć.

Statek drżał jak smukły koń przed startem, choć wcale nie był smukły. Gdzieś w dali majaczyły niewyraźne, drobne sylwetki marynarzy, którzy biegali po

nim jak mrówki i robili coś, co było niejasne, zupełnie niejasne dla ludzi, którzy chcieli po prostu dobrze się bawić i przeżyć, razem lub osobno, najmilsze chwile w życiu. Żaden z nich nie rozumiał bezładnej na pierwszy rzut oka bieganiny w górę i w dół, rzucania sobie lin, haseł i słów, które ostatecznie złożyły się na jeden silny manewr: statek odbił od brzegu.

I wtedy oczywiście stało się to, co widzimy zwykle w wielkich filmach: ludzie na brzegu stawali się mali. Najpierw rozmazywały im się twarze, włosy stawały się nieruchome, a potem wyglądały jak czapki lub berety założone dziarsko na czubku głowy. Sylwetki skracały się, kurczyły i przypominały z dala jedynie kolorami tamtych bliskich ludzi. Kasia i Adam stali tam też, ale nie mieli nikogo bliskiego. Wszyscy Indianie z rezerwatu, w którym kiedyś pracowali, zajmowali się teraz swoimi psami, małymi szczeniętami, które rosły pośród lasów i miały im przynieść dochód. Adaś o nich myślał, bo chciał sobie takiego pieska kupić i sprowadzić do kraju, ale Kasia mu nie pozwoliła.

Teraz stali oboje na brzegu statku i patrzyli, jak ludzie wokół żegnają swoich bliskich, jak patrzą i mają łzy w oczach od wiatru albo wzruszenia. Faktycznie wiał silny wiatr i można było poczuć, że ziemia w miejscu niezabudowanym, rozległym, potrafi człowieka zaskoczyć.

No a potem ludzie, jak to ludzie, szybko znudzili się tym, co jednostajne. Nie chcieli już stać na brzegu statku i patrzeć na znikające, blednące punkty na horyzoncie, nie chcieli też widzieć swojej ziemi, która stała się po prostu trywialnym paskiem jak kawałek skóry, nie chcieli też chodzić ani korzystać z kina, basenu czy kortów tenisowych. Pomyślałem wtedy – powie mi potem Adaś – że ludziom przewraca się w dupie tak szybko, że nikt z nas nie ma szans. – Na co? – Na zakorzenie. Na to, żeby coś trwało dłużej. Wszystko musi być szybkie jak reklamówka.

Zeszli na dół jak pozostali pasażerowie statku i odkryli wielkie sztuczne bogactwo, imitację z Europy, ale z różnych jej krajów i różnych epok. Wszystko najszczerzej podrobione, nieco wyolbrzymione, nieco przesadzone, tak że Kasia zaczęła się bardzo źle czuć i odtąd, choć nie mówiła tego Adasiowi, wychodziła, kiedy tylko mogła, na pokład. Chciałam słuchać wiatru – powie mi potem, kiedy będą już oboje u mnie, na starej kanapie, a Adaś wyjdzie na chwilę do toalety. Chciałam poczuć jego siłę, potęgę czegoś, co nie znajduje na swojej drodze żadnej przeszkody i uderza w nas z olbrzymią siłą. Wydawało mi się wtedy, że ten morski wiatr urwie mi głowę.

Ceny – wszedł jej w słowo Adam i zapinał rozporek – maleją, kiedy tylko znajdziesz się pośrodku Oceanu. Wiedziałaś o tym? Mają tam terytoria wymarzone +

dla piratów, złodziei, dla wszystkich, którzy chcą coś tanio kupić albo komuś zabrać. Pośrodku Oceanu jest teren, który przypomina tereny powietrzne. Zony dla niskich cen. Wszystko tam możesz kupić na statku, w olbrzymich centrach handlowych schowanych pod pokładem, gdzieś obok wielkich kotłowni, maszynowni i hal, które służą tylko do tego, żeby miały się gdzie obracać wielkie turbiny statku.

Ten hałas słyhać w środku. Tak jakby się wydobywał z zamkniętej na amen puszki.

I ptaków już nie ma. Ptaki już dawno tracą siły i nie mierzą się z żadnym podmuchem Oceanu.

To prawda. O zmroku i świcie słyhać tylko szusowanie płetw wielkich ryb. Choć to do końca nie są ryby. Właściwie nie wiadomo, co to jest. Coś na kształt potężnych ryb, które niemal w całości są zatopione i dryfują obok statku, trącając go po koleżeńsku w bok. Tylko że takie lekkie trącanie odbija się mocno wśród pasażerów i dostają oni torsji, czyli chorują na chorobę morską. Wtedy wychodzą na pokład i wdychają łąpczywie wiatr, i suszą usta i oczy zwykle zapłakane od wysiłku, bo jednak torsje to bardzo konwulsyjna i wykańczająca rzecz.

Potem nagle wielkie ryby, orki, delfiny, wieloryby, cokolwiek tam jest w środku tej wody, opuszczają statek i idą na dno. Może po sen. A statek płynie już samotnie na wprost słońca lub księżycy a dni zaczynają się mylić. Potrzebni są ci ludzie, którzy na początku w porcie wydają się śmieszni, bo jedyne, co robią, to bieganie. Teraz nagle okazują się przydatni, wyznaczając dni i informując chorych pasażerów, że zbliża się sylwestrowa noc.

Kasia zastanawia się, gdzie nocują orki i jak to się dzieje, że zawsze wiedzą, kiedy odpłynąć od statku, żeby nie słyhać petard i wielkich okrzyków, a potem znowu się pojawiają z boku i nie przestają holować statku do linii brzegowej pierwszego portu w mieście.

Teraz nie było orek i zaczął się długo wyczekiwany sylwester. Zaczął się od tego, że wszyscy ludzie zaczęli się stroić i nie było końca ciągłym próbom udoskonalania swojego wyglądu. Mężczyźni szli do fryzjera i masażystek, kobiety do ludzi, którzy mogliby im pomóc zapiąć suknię z tyłu albo zrobić paznokcie. Kasia też chodziła między wieloma drzwiami i schodami, a potem wspięła się na identyczny korytarz, a potem na jeszcze jeden i na każdym z nich widziała to samo: ludzi niosących na tacy jedzenie. Jedzenie było kolorowe, w masie tak wielkiej, tak udekorowanej i zasklepionej w sosach, galaretach, płynach, że osłabła. Przysiadła na małych schodkach, które prowadziły do kabin marynarских, aż ją jeden czarny pan zapytał, czy podać jej wody.

Potem próbowała opowiedzieć o tym Adasiowi stojącemu przed lustrem, ale Adaś uśmiechał się tylko do niej tak, jakby to sam wszystko wymyślił. W kieszeni spodni miał te dwie obrączki i był bardzo szczęśliwy z powodu tego dnia, tych dań i tego statku. Wiedział, że cokolwiek się w życiu zdarzy, nikt już go takimi oświadczeniami nie przebiję. Zresztą jak to się potem opowiada znajomym. Wiadomo.

To robi wrażenie – powiedziałam Adasiowi, jak już byli u mnie i siedzieli na starej kanapie. Pamiętam, że miałam wtedy jeszcze resztki migreny i nie mówiłam wiele. Leżałam obok i patrzyłam na uśmiech Adama, który przypomniawsobnie wszystko.

Kasia mówi, że straciła poczucie czasu, ponieważ w zamkniętym pomieszczeniu bez okien, z jednostajnym powietrzem w środku i szumem, który trwa nieprzerwanie od kilku dni i nocy, człowiek przestaje liczyć czas. Minuty tężeją, zbiegają się w jedno miejsce jak do worka i to jest godzina, a potem coś przełamuje się w połowie zdania, w połowie snu i już wiadomo, że minęła doba, ale to musi ci ktoś powiedzieć, ktoś z zewnątrz, bo sam tego nie czujesz. Czujesz jedynie, że coś się zmieniło w biologii twojego ciała, że coś się przełamało w środku, ale brakuje ci punktu odniesienia z zewnątrz, więc wtedy potrzebni są ludzie.

Sala, do której weszli, była bez dwóch zdań wielkości boiska. W rogach kelnerzy. Po obu stronach potężne lustra. Muzyka, ruchome drzwiczki, zza których wybiegają ludzie. Niosą tace. Stołów z powodu luster wydaje się więcej. Stoją wszędzie i uginają się od jedzenia. Nie wiadomo, czy ręka trafia na jedzenie, czy na lustro. Jest z tym wiele kłopotu i wiele wstydu. Nikt nie chce uderzyć ręką w lustro i nikt nie chce wyjść na żarłoka, a jedzenia jest tak dużo, że trzeba je jeść. Nikt nie czeka na zaproszenie czy zapowiedź. Nikt tego bankietu nie otwiera. Kasia i Adam zjawiają się w tej samej chwili, co wielki łoś z chleba. Łosia wiozą na wózek, który przypomina deskorolkę, dwaj czarni kelnerzy. Są pochyleni, jeden z nich spocony na skroniach. Wkłada więcej wysiłku w transport łośia z powodu schodów. Musi go unosić w miejscu, gdzie pojawiają się schody, żeby łoś nie spadł. Ludzie oczywiście nie pomagają. Stoją nieruchomo, patrzą i śmieją się z łośia z chleba. W tym momencie czarny człowiek musi udźwignąć ciężar tego chleba na barku i nierozsądnie łamie łośiowi nogę. Ktoś to zauważa i milknie. Ma chmury w oczach. Czarny człowiek próbuje przykleić nogę z powrotem, nie przerywając przenoszenia łośia nad przepaścią ze schodów.

I tak się to ciągnie. Łoś idzie pod nóż. Kelnerzy zaczynają go kroić, ale także łoś zaczyna ludzi nudzić i po kilku kęsach zostawiają go w tym miejscu. Łoś zaczyna schnąć. Jest twardy jak jego poroże. Twardy jak kopyta.

Kasia wędruje między stołami jak w muzeum. W połowie drogi jest już zmęczona. Zapomina o głodzie z wysiłku i zaczyna się wycofywać, co nie jest łatwe, +

bo napierają na nią głodni Amerykanie. Głodny Amerykanin jest wkurwiony – powie Adaś. Ponieważ zapłacił za jedzenie kupę kasy, chce wszystko zjeść. Nie może wszystkiego zjeść. Widzi, jak zjada jego sąsiad, i jest wkurwiony, że jego sąsiad jeszcze może, a on już nie. Popędza żonę i dzieci, i sam zaczyna wszystko od początku, ale już nie może. Nie mieści już wiele, więc jest coraz bardziej sfrustrowany. I w końcu zaczyna jedzenie niszczyć i marnować, żeby drugi nie zjadł.

Widziałam – powiedziała Kasia – jak wyrzucali za burtę. Rzucali rybom, choć ryb tam nie było. Dla przodków, krzyczeli, w ofierze morzu, tłumaczyli, kiedy ich nakryła. Karmimy zombi – powiedziały dzieci.

I wtedy Kasia poczuła się strasznie. Dobiegała już północ. Na niebie było tysiące gwiazd głównie dlatego, że płynęli samym środkiem Oceanu, a na środku Oceanu krzyżują się mapy wszystkich nieb i wszystkie gwiazdy ze wszystkich stron świata są tu obecne, w kilku planach, na kilku warstwach, tak że każdy człowiek, skądkolwiek jest, odnajdzie tu swoją gwiazdę. Kasia mówi, że Adaś pokazał jej na niebie trzy polskie gwiazdy: gwiazdę Szopena, gwiazdę Solidarności i gwiazdę Auschwitz, ale w miejscu gwiazdy Auschwitz była tylko czarna dziura. Czemu strasznie? Zapytałam ją. Bo ja też wyrzucałam. Karmiłaś ryby? Zapytałam. Rzuciałaś dla przodków? Chciałaś zasypać wielki krater Auschwitz? Ale Kasia kręciła tylko głową. Więc czemu rzuciałaś jedzenie za burtę? Ze wstydu. Kiedy Adaś powiedział mi, że płyniemy, byłam pewna, że statek będzie mały, śmierzący i zardzewiały. Nie wiem, dlaczego tak pomyślałam, a potem, że na pewno będziemy głodni. Dwa tygodnie na wodzie. Co my będziemy jeść? Dlatego kupiłam kilka puszek wołowiny i tuńczyka. Myślałam, że będę mogła gdzieś u marynarzy ugotować makaron i sobie to wszystko podgrzejemy.

Nocą, kiedy dzieci odeszły, Kasia zbliżyła się na brzeg wielkiego statku i zobaczyła w oddali te wszystkie gwiazdy wszystkich ludzi na ziemi, a potem srebrne pasma wody, ciągnące się tak, jakby nie było już ziemi: tylko woda i niebo. W wąskiej szczelinie, tam, gdzie ukazywał się już świt, pojawiło się światło i ploszyło gwiazdy, które zbiły się teraz w tyle statku, w jego ogonie. I z tej wąskiej szczeliny jak z otwartej puszkii wysuwały się kolejno te wszystkie ryby, które opuściły statek z powodu hałasu: wieloryby, orki, delfiny, rekiny, i płynęły na spotkanie Kasi, a Kasia stała tam z torbą z Polski i wysuwała z niej puszki z tuńczykami i szprotami, ale i wołowiną, wieprzowiną, a także dorszem. Nie mogłam w to uwierzyć – powie mi potem Kasia, ale najbardziej smakowała im wieprzowina. Jadły też tuńczyki, ale jednak te puszki z wieprzowiną, nie wiem, jak to powiedzieć, po prostu znikwały w ich paszczach. Ryby pryskały na pokład, w takim stanie dopadały tych puszek. Nie wiem, czy im nie zaszkodziły, takie żelastwo rdzewieje w wodzie, ale na pociechę zawsze sobie mówię, że zjadły przynajmniej coś takiego raz w życiu, bo świnia na Oceanie to jednak wielka rzadkość. ●